



Biblioteka Czytelni
Dr. M. L. BOPEŁOWSKIEGO
W PRZEMYSŁU.

ZORZA

Pismo miesięczne z obrazkami

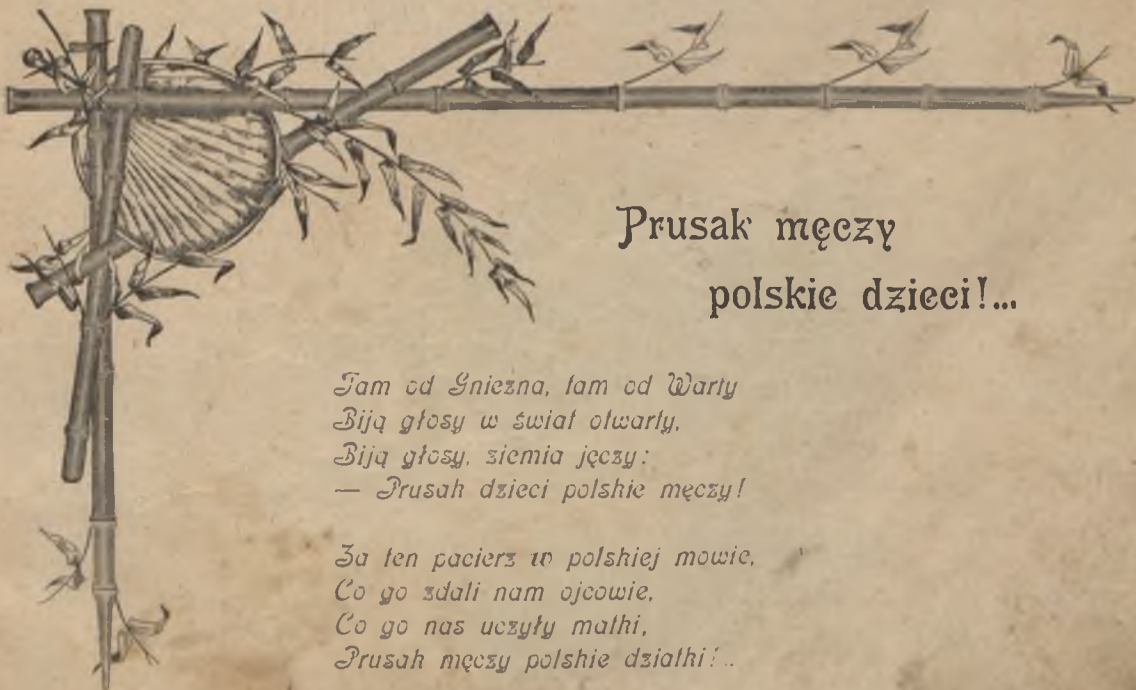
— wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. —

Redaktorka i wydawczyni:
MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.
 W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.
 Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imlenia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.



Prusak męczy polskie dzieci!...

*Tam od Gniezna, tam od Warty
 Biją głosy w świat otwarty,
 Biją głosy, ziemia jęczy:
 — Prusak dzieci polskie męczy!*

*Ża ten pacierz w polskiej mowie,
 Co go zdali nam ojcowie,
 Co go nas uczyły matki,
 Prusak męczy polskie działki!..*

Wstał na gnieździe Orzeł biały,
 W blask mu pióra się rozwiały,
 I do Boga z szargą leci:
 — Prusak męczy polskie dzieci!..

Śbudziły się prochy Piasta,
 Berło w rękę mu urasta,
 Skroń w koronie jasno świeci,
 Idzie bronić polskich dzieci:

— Śwołajcie mi moje Rady!
 Śpieszcie wszyscy do gromady!
 Śwołajcie mi moich hmiel!
 Prusak męczy polskie dzieci!..

Niechaj wiara moja wstanie,
 Niech się skrzyhnie zawołanie,
 Wici niechaj lud zanieci:
 — Prusak męczy polskie dzieci!..

Sam, drużyno! hupą zwartą
 Wstań nad Goptem, wstań nad Wartą,

Rybołowy, rzućcie sieci:
 — Prusak męczy polskie dzieci!..

Wstańcie, siola! Wstańcie, grody!
 Ruszcie z brzegów, rzeczne wody!
 Bijcie, dzwony od Kruszwicy,
 Skroś piastowskiej mej winnicy!

Bijcie, dzwony, bijcie, serca!
 Niech przed wami drży morderca,
 Niech przez ludy krzyk nasz leci:
 — Prusak męczy polskie dzieci!..

Hańba tobie, ty Herodzie,
 W każdym kraju i narodzie!
 Hańba tobie skroś stuleci,
 Śe mordujesz polskie dzieci!

Krzyżowateś ojce, matki,
 Dziś mordujesz małe działki:
 Do dwóch krzyżów przybył trzeci:
 — Prusak męczy polskie dzieci!..

Gdzie trzy krzyże na Golgocie,
 Trzecia jutrznia wschodzi w złocie,
 Śmartwychwstanie tam zaświeci
 Przez męczeństwo polskich dzieci!..

Marja Konopnicka.





Kochajmy się!...

Boże mój, tak nam smutno, tak nam tęskno! Wszędzie bieda, ucisk, płacz, niewola, kajdany! Czy już końca cierpień dla nas nie będzie? Czy jutrzienka wolności jeszcze daleko? — Och, tęskno nam! Bracia nasi smutni chodzą, ze spuszczoną głową. Tam ich uciskają i moskwiczą, ówdzie tępią i germanizują, tu zaś ćma gruba i nędza do ziemi przyciska.

Panie, dokąd-że uciec? — Tu przecież nasza ojczyzna. tu ziemia naszych ojców, tu oni pracowali i umarli, my jej nie odstąpimy i bronąć będziemy do tchu ostatniego.

Tak, bronąć!

Bracie, cóżes tak podniósł głowę, cóż to za żar w twych oczach? Nie trudno odpowiedzieć na to pytanie, nieprawdaż? Hasło, które budzi się w twojej duszy, łatwo jest zrozumiałe?! Podaj mi rękę twą twardą i spracowaną, chłopie i robotniku polski! Ponieważ jutrzienka wolności coraz jaśniej się rozpala, niechaj iskra nadziei w źrenicy twej dalej płonie, niechaj oko twe patrzy dumnie przed siebie! A twoje czyny, chłopie i robotniku polski, świadome siły twej, niechaj przypominają każdemu, iż ty jesteś podwaliną Polski, — że ona w tobie jeszcze nie zginęła!

Młotami kuli na naszych głowach Niemcy i Moskale, lecz mowa polska jeszcze nam brzmi! Kuli obręcz wkoło nas, aby zadusić nas, lecz zyskali jeno tyle, iż przyciśli braci do braci, a ci poznavszy się, zamiast rozpaczać, zawołali: »Kochajmy się!« Tak, kochajmy się! To hasło niechaj zabrzmi i w twojem sercu, kochany czytelniku i czytelniczko »Zorzy«! To hasło, jako balsam niechaj pocieszy ciebie, włościaninie, co wyglądasz wolności! Ale niechaj zagrzeje też i pocieszy ciebie, pracownikowi ludowy, bo wierząc, że ono rozbrzmiewa coraz silniej po naszych błoniach. Do szeregu tych, których łączy to hasło do pracy wspólnej, wstawa lud — lud polski! Pod chorągiew świętego

hasła garnie się gorąca młodzież z gorącą dla ojczyzny miłością.

Kochajmy się! Precz z kłótnią i swarą, bo mamy jeden cel; droga nasza prosta, bez krętów; precz z drogi wszystko, co przeszkadza!

Kochani rodacy, którzy czujemy i rozumiemy doniosłość tego hasła, podajmy sobie ręce do wspólnego uścisku bratniego, nawzajem wspomagającego, bo Ciebie, ludu Polski, żaden inny nie podźwignie, tylko ty sam się podźwigniesz; ty, chłopie i robotniku, bracie nasz, bo w tobie potęga i siła! Coraz częściej pojawiają się w gronie twoim szerzyciele i nauczyciele idei narodowych. Chłop polski nie zapomniał i nie zapomni Kościuszki i Racławic, iza jego nigdy nie wyschnie, rana nie przeboli, bo ciężka, ciężka dola jego. Czekaj cierpliwie, z lata do lata na polepszenie, lecz czas obudzenia idzie pomału, a nędza gryzie uporczywie.

I oto zaś przeszedł rok ciężki dla nas. Z zgrzytem zacinamy zęby na widok naszej młodzieży i dziatwy w Prusiech i Rosji, wyobraźnia zżyma się przy rozmyślaniu o wypadkach w Toruniu, Poznaniu, Wrześni i Gnieźnie, tych najnowszych ciosach bolesnych. Dziś znowu wołamy z Mickiewiczem: »To młódź nasza ginie!« a tu ani słychu o lepszej przyszłości.

Tak znowu jeden rok niewoli i kajdan przeszedł, a co nam przyniesie ten przyszły?...

Boże, Ojcze! Twoje dzieci
Płaczą, żebrzą lepszej doli,
Rok po roku marnie leci, —
My w niewoli, my w niewoli!

Boże, ani o wolności marzyć nam nie wolno, bo zbrodnia jest myśl o lepszym bycie, bo zbrodnia jest wspomnienie o dawnej sławnej doli. Ci, którzy się opowazyli to uczynić, musieli zmarnieć na Sybirze, lub jęczeć w lochach więziennych. Biedną mło-

dzień naszą teraz w Prusiech ten sam los spotkał, i tam ona jęczy, zamknięta w więzieniu, za święty ideał swój.

Lecz męczeństwo jej nie pójdzie na marne: będzie ono żywym palcem, wskazującym na otwartą ranę naszą, w którą to ranę zapatrzy się oko chłopca polskiego.

Więc nie rozpaczajmy. Hasło nasze: Kochajmy się! Wśród burzy, nieszczęść i wichrów przeciwności łączmy się do wspól-

nej obrony. Kochajmy się! Rozszerzajmy to hasło nasze wśród wszystkich warstw ludu! brońmy się, nie zapominając ani na chwilę, że miłość wspólna, to najlepsza broń.

Oświata niechaj zawita do nas, wielki cel niechaj nas łączy, a święte hasło niech nas wciąż krzepi: kochajmy się!

*Jan Broda, w Witkowicach,
syn rolnika śląskiego.*



— — — Ojciec nasz dzieci wrześnieńskich.

Ojciec nasz, któryś jest w niebie,

Dzieci do Ciebie wołają: —

Ża co ściągają na siebie

Cięgi prusacką nahają?

Ale: — święć się imię Twoje,

Coś tak dobre i tak wielkie! —

Mówim, liżąc razy swoje,

Potyhując też kropelki.

Przyjdź królestwo Twoje — prosim,

Choć tyranja coraz sroższa, —

I błagalne ręce wznosim:

Modlitwa nad wszystko droższa!

Bądź wola Twoja, jak w niebie,

Tak i na ziemi, — wołamy;

My zawsze chwalimy Ciebie,

Choć męczarni doznawamy.

I prosim: — chleba naszego

Dla nas — dla naszej macierzy —

Daj nam dzisiaj powszedniego,

Choć pruski molołch zęb szczerzy.

I odpuść nam nasze winy,

Choć dziecięce nie tak wielkie.

I zupełnie bez przyczyny

Żnosim dziś halusze wszelkie, —

*Jako my odpuszczamy
Naszym winowajcom — Boże!
Moc krulów, co odbieramy,
Dobroc Twoją wyczerpać może.*

*Nie wódź nas na pokuszenie,
Bo już z bólu serce pęka;
Szszlij już raz pocieszenie,
Bo nad nasze siły męka.*

Ale nas zbaw ode złego!...

*Sich, zachłanna pruska hydro!
Mowy ojców — skarbu tego —
Twoje szpony nam nie wydrą!*

Józefa Trochymczuk.



Hołd pośmiertny Ujejskiemu.



Pieśni wielkich poetów krzepiły naród polski w ciężkiej doli, rozpałały w nim miłość ojczyzny, nie dały wątpić w tryumf sprawiedliwości, — w zmartwychwstanie Polski. To też nigdzie może pieśniarzy narodowych nie otacza taka wdzięczność, tak gorąca miłość i cześć, jak w naszym kraju.

Wyrazem tych uczuć był także i dzień 8. grudnia zeszłego roku, — dzień odsłonięcia we Lwowie pomnika Kornela Ujejskiego, sławnego pisarza, przeznaczonego obywatela.

W uroczystości odsłonięcia wzięła udział liczna, kilkutyśięczna publiczność. Przemawiał do zgromadzonych tłumów najpierw Antoni Popiel, artysta rzeźbiarz, który wykonał pomnik z kamienia i spiżu. Po nim zabrał głos prezydent miasta, — następnie mówili: przedstawiciel poetów i młodzieży. A we wszyst-

kich przemówieniach sławiono pamięć poety. składano hołd jego pieśniom.

Uczynmyż i my, Czytelnicy »Zorzy«, to samo: uczcijmy, choć krótkim wspomnieniem, zmarłego poetę, który ukochał płomiennem sercem ponad wszystko ojczyznę i lud, a dowody tej miłości składał słowem i czynem przez całe życie...

Kornel Ujejski zmarł przed czterema laty, w 1897 roku, na jesieni, kiedy to drzewa sypią liśćmi, niby łzami, a śliczna przędza Matki Boskiej, zwiastunka długiej pogody, wije się »błękitem po nad nasze smętne wody, po nad biednych ludzi żyteń«.

Obie stolice kraju, Lwów i Kraków, były by szczęśliwe, gdyby mogły posiadać śmiertelne szczątki sławnego męża, gdyby mogły szczyścić się jego grobem. Ale poeta który nie żądał za życia chwały ni zaszczytów i po śmierci pragnął uniknąć wszelkiej okazałości. Zastrzegł więc sobie nieodwołalnie, by go pochowano, bez marnej parady, na wiejskim cmentarzu w Pawłowie, majątku młodszego syna Romana, gdzie przebywał

w ostatnich latach życia i gdzie zamknął powieki do snu wiecznego. Oddany całą duszą ludowi wiejskiemu, chciał i po śmierci spoczywać obok sąsiadów z pod słomianej strzechy — chciał, aby prochy jego zmieszały się z prochami chłopów...

A chociaż na pogrzeb przybyły setki osób ze wszystkich stron kraju, zwłaszcza z niedalekiego Lwowa, gdzie Ujejski posiadał liczne grono znakomitych przyjaciół, towarzyszy i wielbicieli, zaszczyt ostatniej posługi przypadł wudziale właścianom. Trum-

najstawniejszej, wszystkim znanej pieśni Ujejskiego:

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej
Do Ciebie, Panie, bije ten głos,
Skarga to straszna, jęk to ostatni —
Od takich modłów bieleje włos.
My już bez skargi nie znamy śpiewu,
Wieniec cierniowy wstół w naszą skroń,
Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu,
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń!

Zaczem na szklane wieko trumny posypało się kwiecie z rąk dziatwy wiejskiej,



Popiersie Ujejskiego z pomnika we Lwowie.

nę — jak poeta pragnął za życia, jak o tem pisał w ślicznym wierszu — owoż trumnę wzięli na ramiona »stroskani wieśniacy« i zanieśli zmarłego, »jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy«, na cmentarz wiejski, na którego bramie Ujejski kazał niegdyś położyć wzruszający napis: »Spoczną i wstaną!«

Trumnę drogą spuszczone w ciemność grobu przy potężnych dźwiękach »Chorału«,

padły łzy dorosłych, padła ziemia i skryła poetę na zawsze z przed oczu świata...

Ale pozostały jego pieśni, rycerskie, ogniste, wspaniałe. Te nie umrą nigdy, te pójdą z pokolenia w pokolenie i rozpalać będą w sercach ludzkich miłość ojczyzny, miłość wszystkiego, co wielkie, sprawiedliwe, wzniosłe...

Ogromniebym chciała opowiedzieć w »Zorzy« o wszystkich utworach Ujejskiego,

ale ponieważ to jest niepodobieństwem, więc wspomnę jeno o młodzieńczych jego pieśniach, które wyszły pod tytułem »Skarg Jeremiego« i odrazu wstawiły imię autora, odrazu uczyniły go ulubieńcem narodu.

Najpierw słówko wyjaśnienia co do samego tytułu.

Jeremi był to — jak wiemy — prorok biblijny, który układał żałośnie hymny nad nieszczęsnymi losami Judei. Owoż Ujejski nazwał swoje pieśni »Skargami Jeremiego«, bo rozwodzi w nich gorzkie żale nad nieszczęściem własnej Ojczyzny — nad tem, co zaszło w Polsce w roku 1846.

O, znamy — z opisów i żałośnych znamy opowiadań ów rok straszny, gdy na ziemi naszych ojców »biły łuny krwawe, krzyk rozpacz przedzierał się przez śmierć i wrzawę: pośród ogniów szatana przemykały posły i worki z srebrnikami dla Judaszów niosty!« *)

Okropne wypadki tego roku okryły naród tem grubszą żalobą, że ludzie, najszczerzej oddani ojczyźnie, wyglądali go z żywym upragnieniem, sądząc, że położy kres naszej niedoli, naszym mękom. Trzeba wiedzieć bowiem, że w początkach tego roku, a mianowicie 21. lutego, miało wybuchnąć powstanie we wszystkich naraz ziemiach polskich, pozostających pod jarzmem moskiewskim, pruskim i austrjackim.

»Walka w wolność z krwią ojca spada na syna, aż kończy zwycięstwem« — powiada wielki poeta. Owóż i Polacy nie dali się ubezwładnić ani na chwilę niepowodzeniem powstania z r. 1831 i jeli gotować się z wiarą i zapałem do ponownej walki, aby »co wróg zburzył, to trwalej zbudować«. A przygotowania ich dwie przyświecały myśli. Obie, jak słońce, jasne. Pierwszą z tych myśli było wyzwolenie ludu wiejskiego z niewoli wewnętrznej, to jest z pańszczyzny i poddaństwa; drugą zaś wyjarzmienie ojczyzny, przy pomocy wolnego już ludu, z pod obcego najazdu, to znaczy z niewoli zewnętrznej.

Szlachetni ludzie, którzy do wielkiego gotowali się dzieła, pragnęli więc — jak widzimy — nie tylko wynagrodzić krzywdy, od wieków wyrządzane ludowi, lecz w ludzie tym widzieli jedyne zbawienie ojczyzny.

»Jest nas dwadzieścia milionów — mówili w odezwie do narodu — powstańmy razem, jak mąż jeden, a potęgę naszej za-

dna nie przemoże siła; będzie nam wolność, jakiej dotąd nie było... Ziemia, dzisiaj przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się bezwarunkową ich własnością, ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie tym podobne należytosci bez żadnego wynagrodzenia, a poświęcenie się sprawie narodowej z bronią w rękę, będzie wynagrodzone ziemią z dóbr narodowych.

»Polacy! Nie znamy odtąd między sobą żadnej różnicy, jesteśmy odtąd Braćmi, Synami jednej Matki-Ojczyzny, jednego Ojca-Boga na niebie!« *)

Tak wysoko myśleli, do tego dążyli członkowie tajnych związków, które gęstą siecią pokrywały natenczas wszystkie ziemie rozdartej Polski.

Młode, szlachetne serca gorzały miłością dla cierpiącego ludu i pragnęły okupić jego wolność, jego szczęście największą choćby ofiarą. Ale, niestety, lud nie był jeszcze w stanie przed pół wiekiem tego zrozumieć, a wrogowie skorzystali z ciemnoty mas, aby znowu wszystko udaremnić.

Spiski zostały przed czasem wykryte przez rządu najezdnicze. Powstanie, którego termin przyspieszono, wybuchło nie jednocześnie na całym obszarze ziem polskich, lecz w niektórych zaledwie okolicach i wnet upadło, nie mając dostatecznej siły, aby stawić czoło licznym wojskom nieprzyjacielskim.

Polska zmieniła się znowu w katownię.

Rząd pruski zapełnił lochy więzienne najzacniejszych jej synami. Rząd moskiewski dusił powstańców stryczkiem na szubienicach. Ale to, co zaszło w Galicji, przewyższyło grozą męki więzień i szubienic.

Gdy przygotowania do walki orężnej poruszyły kraj, wówczas wrogowie postanowili tu użyć ludu, jako narzędzia, dla stłumienia ruchu. — Niech lud własnymi rękami wymorduje tych, co pragną walczyć za wolność i lud! Tak będzie najlepiej, bo wówczas odechce się Polakom buntów co najmniej na lat sto!

Zaczęto więc szerzyć niepokojące pogłoski między gnębionym, ciemnym, nieszczęśliwym ludem, któremu na domiar biedy groziła klęska głodowa wskutek dwukrotnej powodzi, wiosennej i letniej — w marcu i lipcu, — oraz częstych burz i wichrów szalonych. Wmawiano naprzykład włościanom, że Polacy zbroją się, aby lud

*) Słowa Ujejskiego, w »Skargach« wypowiedziane.

*) Ustęp z odezwy, czyli manifestu, wydanego w Krakowie 1846 roku przez Rząd Narodowy Rzeczypospolitej Polskiej.

wyróżnić po wioskach, że cesarz zniósł od kilku lat pańszczyznę, lecz panowie trzymają to w tajemnicy. Upewniano dalej, że skoro lud buntowników poskromi, wówczas w nagrodę uwolniony będzie od podatków i rekruta.

Niecne owe baśnie znajdowały posłuch w wioskach. I nie dziw! Alboż to lud miał wówczas szkoły? alboż czytał książki i gazetki, z których dziś czerpie oświatę? — ciemno było przed półwiekiem w chatach naszych, bardzo ciemno!

A w ciemnościach lęgnie się złe!

I stała się rzecz straszna!

Gdy w burzliwą noc z 18. na 19. lutego 1846 roku drobne oddziały powstańcze wystąpiły z orężem w pole, aby walczyć za wolność i lud, chłopci, — uwiedzeni, zbałamuceni, pijani wódką i szałem, rzucili się mordować braci, którzy nieśli im wyzwolenie z więzów poddaństwa! Skrępowanych, okaleczonych, w licznych wypadkach zamordowanych kijami i siekierami powstańców, chłopci odwozili do Tarnowa i oddawali w ręce władzy... Potem rozzuchwalone bezkarnością bandy podpalaczy i morderców rzuciły się na dwory...

I spłynęła krwią Ablową ziemia nasza, a czarne noce zimowe stały się jasne od blasku pożarów...

Więzienia wszystkich miast przepełniły się patryotami. Na ulicach widziało się tylko smutne, łzami skropione twarze. Ludzie płakali zamordowanych synów, braci, ojców, — płakali z bólu nad upadkiem ludu, który dał się pociągnąć przez zbrodniarzy do zbrodni...

A co wszyscy czuli, to Ujejski wypowiedział w »Skargach«. Wypowiedział więc żalobę i ból serc polskich, zwątpienia ich, rozpaczę i — nadzieję. Tak, — i nadzieję!

Bo i ów straszny rok pożogi i mordu miał chwile jaśniejsze.

Oto część ludu w Sądeckiem nie dała się uwieść kusicielom, nie splamiła rąk bratnią krwią. A tam, gdzie na zachwaszczoną lecz bujną glebę chłopskich serc umiejętny siewacz rzucał ziarna oświaty i skrapiał je rosą miłości, tam lud jawnie stanął po stronie sprawy narodowej, i krwią, w obronie wolności przelaną, powiedział światu, że go dzień jest wolności.

Najdzielniej się spisali górale we wsi Chochołowie, w Tatrach. Na pierwsze wezwanie zacnego swego proboszcza, ks. Kmietowicza, stanęli tam górale, zbrojni w ostre kosy, w liczbie pół tysiąca, i zagrznani przy-

kładem organisty, Andrusikiewicza, człowieka niezwykłych zalet umysłu i charakteru, odnieśli trzykrotne zwycięstwo w utarczkach z żołnierzami austriackimi.

A nawet i ci, których ciemnota i nędza, namowa i wódka do zbrodni popchnęły, jakże gorzko tego żalowali, gdy szła przemiąta! Skruczą, spowiedzią, pokutą starali się zmyć winy. Tłumy niezliczone włościan z Galicji pociągnęły we dwa lata później, skoro tylko granicę do Królestwa otwarto, do Częstochowy. A gdy Paulini zawarli bramy, nie chcąc wpuścić do kościoła winnych zbrodni bratobójstwa — wówczas lud płaczem, rykiem, tarzaniem się w prochu, wymodlił przebaczenie i został dopuszczony przed oblicze Jasnej Pani, polskiej królowej...

I śmierć męczenników z r. 1846, co padli pod nożem morderczym lub zawisli na szubienicach, nie poszła na marne.

Neron nie wytepił prześladowaniem chrześcijaństwa, bo pierwsi chrześcijanie męką i śmiercią dawali świadectwo nauce Chrystusa. Nasi wrogowie, przebieglejsi od Neron, nie mogą zamordować Polski, bo Polacy męką i śmiercią świadczą o jej życiu i uczą następne pokolenia miłować ojczyznę i w Jej obronie umierać. Tak też i męczennicy z r. 1846 stali się mistrzami i patronami narodu, a przykład ich znalazł wkrótce szlachetnych naśladowców...

Nie same więc straty i klęski przyniosł rok 1846!

Owoż i w »Skargach Jeremiego«, napisanych pod wrażeniem zasłanych w tym roku wypadków, przez czarne chmury rozpaczy przedziera się tam i ówdzie promień nadziei, — a z poza oparów łez i krwi błyska tęcza — zapowiedź łaski!

Te hymny żalobne, z niezrównaną siłą uczucia napisane, stały się podwaliną sławy Ujejskiego, którego zwano odtąd Jeremim polskim. Jedna zwłaszcza z tych pieśni, wspomniany wyżej »Chorał« stał się hymnem narodowym. Ujejski mówi tu, w »Chorale«, o cierpieniach narodu, tak srogich, że włos od nich bieleje. A jednak, chociaż »wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń«, nie tracimy wiary, że Bóg da się przebłagać, że odwróci od nas dłoń karzącą, »bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan!« Ale gdy wrogowie pastwią się nad nami bezkarnie, gdy wołają z urąganiem: »A gdzież ten Ojciec, a gdzież ten Bóg?« my zaś żadnego nie widzimy cudu na znak, wówczas i nas szarpie zwątpienie i »bluznią usta, choć płacze ser-

ce«. Okropne zbrodnie splamiły naszą ziemię: »syn zabił matkę, brat zabił brata, mnóstwo Kainów jest pośród nas«. Ale ci, którzy się dopuścili onych zbrodni, byli tylko narzędziem, byli ślepym mieczem w ręku szatanów, więc, o Boże, »rękę karaj, nie

my sztandar »wycięski Twój!« i »błędym braciom« otworzym z miłością serca, a »winę ich zmyje wolności chrzest«.

Nuta przebaczenia dla błędnych braci, która dźwięczy w »Chorale«, otworzyła drogę tej pieśni do zbolełych, częstokroć ponie-



Górale ze wsi Chochołowa w Tatrach — podług rysunku z r. 1846.

ślepy miecz!« A nas, którzyśmy i w nieszczęściu pozostali Ci wierni, »osłon ojcowską dłońią«, ojcowską łaską, a znów świętym uniesieni zapalem, pójdziemy »na wielki bój i na drgającym szatana ciele zatknie-

wieranych serc chłopskich i napełniła je wdzięcznością dla poety. A wymownymi tłumaczami tej wdzięczności stali się właścianie dąbrowskiego powiatu. Przesłali oni mianowicie adres dziękczynny Ujejskiemu

w 70-tą rocznicę jego urodzin, którą cały naród polski święcił w 1893 roku z niezwykłą uroczystością.

Adres ów, do którego pierwszą myśl podał Jakób Bojko, światły i zacny wójt z Gręboszowa, dziś piastujący, obok wójtowskiej, także godność posła do Sejmu z miasta Lwowa i do Rady państwa, zaopatrzyło własnoręcznymi podpisami siedmdziesięciu kilku włościan z różnych wsi powiatu.

Adres ów brzmiał, jak następuje:

Adres włościan, przesłany Ujejskiemu.

Wielmożny Panie Poeto!

Dziś, gdy cały naród polski składa Ci życzenia i hołdy, jako swemu prorokowi, i my, wieśniacy polscy z powiatu dąbrowskiego, czujemy wielką potrzebę złożyć Tobie swoje serdeczne życzenia i hołd dziękczynny, jaki Ci się od lat 47 od włościan galicyjskich należy. Nasi Ojcowie, nie świadomi, idąc za szatańskim poduszczeniem chytrego wroga (wroga, który z nieporozumienia, jakie się skutkiem fatalnych stosunków wytworzyło między dworem a gminą, zapragnął plon dla siebie zebrać), porwali za domowy »ślepy miecz« i ugodzili nim w łono starszego brata.

Nic dziwnego, że na czyn tak straszny cała Polska zapłakała, a nierozważwszy, kto tu w tej sprawie był rzeczywistym winowajcą, całą winę zwała na nieszczęśliwego chłopca i wzywała pomsty u Pana Boga na niego!

Ty jednak, prawdziwie od Boga przysłany Polsce, w tak smutnej chwili, płacząc nad poległą swą bracią, broniłeś chłopów przed opinią rodaków, śpiewając: »Oni niewinni, choć naszą przyszłość cofnęli wstecz; inni oprawcy byli tam czynni...« i kazalesz

prosić Boga, by »karał rękę, nie ślepy miecz«.

Za ten życzliwy sąd czynu naszych ojców, którego Polska nie знаła przedtem, przyjm zacny Kodaku-Piewco, serdeczną od nas podziękę.

Niech Ci Bóg dozwoli dożyć czasu, kiedy się okaże niesłychany cud, kiedy Polskę oswobodzi, a przez to zmaże winy ojców, dzielny polski lud.

Gręboszów dnia 12. września 1893 r.

Hołd wdzięczności, złożony mu przez siewców i oraczy ziemi polskiej, śnać najmiłszy był sędziwemu poecie, bo chociaż w roku swym jubileuszowym otrzymał tyśiące adresów, tym tylko jednym pospieszył natychmiast po odebraniu pochwalić się w liście do jednego z przyjaciół.

»Przeczytawszy adres — pisał w onym liście — pojdziesz, co czuję, jak jestem do głębi poruszony. Lud polski dziękuje mi. Przygniótł mię Bóg swą łaską i nagrodą.«

W jednym z przyszłych numerów »Zorzy« powtórzę w dosłownem brzmieniu wspaniałe zwrotki »Chorału«, który stał się hymnem narodowym i przetłumaczony na wszystkie niemal języki europejskie, rozniósł skargę naszą szeroko po świecie. Dziś uczynić tego niepodobna, bo i tak mamy aż dwie poezje, wywołane barbarzyńskim znęcaniem się Prusaków nad naszą działawą.

Więc już tylko podam w krótkich słowach treść jednego z utworów poety pod tytułem »Maraton«.

Nie wątpię, że opowiadanie to przypadnie Wam do serca, drodzy Przyjaciele, bo o wielkiem męztwie i gorącej miłości ojczyzny tam mowa.

M. Wystouchowa.



Maraton.

W poemacie, czyli dłuższej powieści wierszem, z którą chcę Was zapoznać, drodzy Czytelnicy, Ujejski opowiada o bitwie maratońskiej. Bitwę oną Grecy stoczyli zwycięzko z Persami w obronie swej wolności na pięć wieków bez mała przed urodzeniem Chrystusa. A ponieważ stało się

to na polach Maratonu, więc i poemat ma tytuł: »Maraton«.

O dawnych więc — jak widzimy — czasach i dawnych ludziach tu mowa. Ale pisząc o Grecji, Ujejski Polskę ma na myśli, a sławiąc bohaterstwo Greków, którzy miłowali wolność ponad wszelkie dobra ziemskie,

pragnie własnych rodaków do wielkich za-
grzać czynów.

Otóż treść poematu, pokrótce opowie-
dziana, tak się przedstawia:

Darjusz, potężny król Persów, podbijał
kraje, narzucał pęta wolnym niegdys ludom.
I nikt nie śmiał stawić mu oporu, wszyscy
korzyli się przed mocnym panem lądów
i mórz. Grecy tylko, wolni i dumni, nie
uznawali jego panowania, urą ali jego po-
tędze. To też serce Darjusza srogim zawrzało
na nich gniewem.

Grecja, — wolna oświecona, sławna,
była solą w oku despotie, który się obawiał,
aby i inne ludy nie podniosły za jej przy-
kładem buntu przeciw jego władzy. Postano-
wił więc w proch zetrzeć Greków. Miał dość
siły po temu. Wpierw jegnak zamierzył spro-
bować, czy mały ów kraik nie złęknie się
samej już groźby i nie podda się mu dobro-
wolnie, bez boju. Wysłał więc poselstwo do
Grecji.

Posłowie Darjusza, przybywszy do Aten,
najsławniejszego miasta Grecji, jęli coś gło-
sić w rynku ludowi. Nikt ich jednak nie
rozumiał, bo obcym mówili językiem. »Jeden
Grek tylko, co po persku umiał, wstąpił na
kamień i zaczął tłumaczyć na język swojski;
a miało to znaczyć: »Darjusz, król Persów
i Medów, pan świata, na harde ludy plaga
i zatrata, zsyła heroldów,*) by mu wasze
plemię na znak poddaństwa dało wodę, zie-
mię, a może da się pokorą przebłagać
i wstrzyma rękę, co ma Greków smagać.«

»Za każdym słowem lud, jako lew mru-
czał, a potem śmiechem szyderyczym zahuczał,
plwał w oczy Persom, szaty ich rozdzierał,
cisnął kamieniem. — Pers z trwogi umierał,
a lud, jak rzeka ogromna w wylewie, rwał
ich ku sobie — szalał w srogim gniewie
i włócił ich, drżących, po za miasta bramy.«
Tam między skalne przepaści wtrącił wy-
słańców Darjusza, a sam, »zaciekły, zemstą
rozjuszony, szydził, nad jamą stojąc pochy-
lony: »Tam poddostatkiem i ziemi i wody!
Jedźcie i pijcie!«

Zemściwszy się na wysłańcach Darjusza,
lud zwrócił się przeciwko Grekowi, który
tłumaczył wezwanie Persów.

— Patrzcie! — wołał rozszonony — oto ów
człowiek znieważył język naszych ojców plu-
gawemi słowy! On pierwszy to uczynił, bo
dotąd nikt w wolnej mowie greckiej nie na-
kładał do poddania się wrogom, nie zache-
cał do niewoli. — W przepaść z nim! W prze-
paść! Niech ginie!

*) Herold, znaczy tyle, co wysłaniec.

Ale Grek »błagał ze łzami, żeby go ra-
zem nie grzebać z Persami, żeby nie mieszać
jego wolnych kości z kośćmi sług podłych«
i prosił o inny rodzaj śmierci. Wtedy
»w oznakę litości, dwaj przyjaciele i bracia
najszczersi własną mu ręką rozplatali piersi.
On błysnął okiem w bezmownej podzięce
i umarł cicho, padłszy na ich ręce.«

Tymczasem srogi Darjusz, uniosł się
gniewem niesłychanym na wieść o zniewa-
dze, którą mu Grecy wyrządzili, mordując
jego wysłańców. Nie żałował też zabiegów
ani kosztów i zgromadziwszy ogromne wojsko,
wysłał je przeciwko Grekom. »Aż wichur się
zrywa od wiania buńczuków*) i gwar po-
wstaje od pochrzęstu łuków, od końskich
kopyt ziemia poczerwiała, tak wielka koni
i ludzi nawała. Możliwość nimi podbić cały
świat ten, a tam krzyk tylko: »Do Aten!
Do Aten!«

Niezliczone hordy Azjatów, jak sępy
spadły na piękny kraj grecki i szły morzem
krwi i płomieni, pozostawiając za sobą jeno
zgliszcza, jeno stosy trupów. — Głównym
jednak celem wyprawy były Ateny! »I mają
rozkaz surowy wodzowie, żadnej ateńskiej
nie przepuszczać głowie, i wiele, wiele przy-
spobobić tyków — tyle w Atenach wezmą
niewolników.«

«W Atenach trwoga; lud tłumem się
zbiera, milczy i smutnie po sobie spoziera.«
A jedni szepcą: »Nieprzyjaciół siła! na cóż
się przyda ofiara i męstwo?« A drudzy krzy-
czą: »Śmierć albo zwycięstwo!«

Ów okrzyk: Śmierć lub zwycięstwo!
powtarza też Milcjades, przeznacny obywatel
ateński, i mądrym słowem krzepi słabszych
na ducha, wlewa wiarę w wąpiących.

»Jakaż przewagę może mieć nad nami,
— mówił Milcjades, — zgięty niewolnik, co
idzie walczyć na rozkaz okrutnego pana,
kiedy nas — »nas, wszystko do boju pory-
wa, każda pięść ziemi, mogiłami żywa i cała
przeszłość, ta przeszłość wiekowa, co w swo-
jem łonie tyle sławy chowa!«

Kto chce być sługą, niech idzie do
Persów, niech się im podda, niech pęta za
nogi pańskiej, która nim potrąca. Ale my
jesteśmy do tego niezdolni! My albo wytę-
pim wroga żelazem, lub, wolni, schronim się
w grobie przed niewolą. »Na naszej skroni
tylko z lauru wieniec lub bladeść trupia —
nie wstydu rumieniec!«

*) Buńczukiem nazywał się u Tatarów i innych
ludów azjatyckich ogon koński, na drzewcu zawieszony,
który im służył zamiast chorągwi.

A lud, porwany ognistemi słowy Milcjadesa, zahuczał: »Śmierć albo zwycięstwo!« i okrzyknawszy tegoż Milcjadesa wodzem, pośpieszył, pełen otuchy, na pola Maratonu dla stoczenia bitwy z Persami.

Pustka zaległa Ateny. Kto tylko mógł miecz udźwignąć, ten rzucał warsztaty, pługi, szkoły i biegł dowieść »nie słowem, lecz czynem, że nie wyrodnym był ojczyzny synem«. A jednak, chociaż prócz starców, niewiast i dzieci, wszyscy poszli na pole bitwy, wojsko greckie było tak szczupłe w porównaniu z armją nieprzyjacielską, że Persowie, zobaczywszy tę garstkę, wybuchnęli śmiechem urągliwym, wołając: »Szaleni! Szaleni! Jeden na tysiąc! my niezwyciężeni!«

Warknęły strzały Persów i czarna chmura na Greków leca... Grecy jednak nie dają się zastraszyć ani liczbą nieprzyjaciela ani strzałami, i z gromkim okrzykiem wojennym uderzają na Persów, — łamią ich szeregi. — Teraz zavrzał morderczy bój na oręż, pierś przy pierści...

Mało Greków, ale każdy z nich silny, zręczny, gibki, w gimnastyce wyćwiczony. Mało Greków, ale pierś ich płonie zapalem, ale sprawa ich święta: oni za wolność, za Ojczyznę walczą i zwyciężają!

Rozbite pułki Persów idą w rozsypkę, część ich tonie w pobliskim morzu, część w trzęsawiska zapada, a reszta chroni się na okręty i w sromotnej ucieczce szuka ocalenia...

Zwycięzkie zastępy Greków ciągną w tryumfalnym powrocie do miasta. Wtem któryś

z wojaków niecierplwszy, wyprzedza innych, pędzi, jak strzała, z dobrą nowiną i wpada nocą do miasta, wołając: »Tchu! Tchu! Głosu! Grecja... żyje! Cześć! Cześć! Milcjades! Tchu!... Zwycięstwo z nami!« — Kobiety z domów wyszły z pochodniami... Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył i padł, wołając: »Zwycięstwo!«

Już nie żył.

Pękło mu serce, — pękło — z radości!

Pięknym był czyn Greków i pięknie go poeta nasz opisał. A natchnienie dawała mu — jak wiemy — miłość dla własnej Ojczyzny, której dzieje przypominają poniekąd dzieje Grecji. Wszak i Polska przodowała niegdyś sąsiednim narodom w oświacie i wolności i o jej mężną pierś rozbijały się hordy dzikich Azjatów: Tatarów, Turków — i ona ma rycerską przeszłość, tę »przeszłość wiekową, co w swoim łonie tyle sławy chowa« — i ona wołała niegdyś śmierć, niż niewolę... A dziś? — I dziś mogłaby stargać sromotne pęta, gdyby wszystkie serca w narodzie zapłonęły, jak serca Ateńczyków przed bitwą Maratońską, ogniem męstwa i ofiary, gdyby wszyscy Polacy, od mędrca do prostaczka, jednej rzeczy pragnęli, do jednego dążyli celu: do wolnej Ojczyzny! —

Ujejski znał tę wielką prawdę, że niema siły, coby mogła złamać wolę milionów, często też powtarza ją w swych pismach, pragnąc przelać wiarę swoją w innych, — w cały naród polski...

Mały obrońca Ojczyzny.



ostatniej potyczce pułk Burów stracił dobosza. Trzeba się było starać o nowego.

Pewnego dnia stanęła w obozie kobieta średniego wieku, w żałobne suknie ubrana. Trzymała za rękę trzynastoletniego chłopca, szczupłego i na wiek swój bardzo małego. Zwróciła się do kapitana, prosząc o przyjęcie go za dobosza. Stojący dookoła wojacy wybuchnęli głośnym śmiechem, nawet sam kapitan nie mógł skryć uśmiechu pod wąsem.

Chłopiec, zarumieniony, pochylił w zakłopotaniu głowę. Po chwili jednak wznosił ku kapitanowi błękitne, rozumne oczy i rzekł:

— Może pan być spokojny, panie kapitanie, umiem dobrze bić w bęben.

Kapitan uśmiechnął się z dobrocią.

— Wachmistrzu, — wydał rozkaz — każ przynieść bęben i sprowadź tu trębacza! Za chwilę zjawił się trębacz.

Był to stary żołnierz o sumiastych wąsach, a tak wysoki, że wszystkich obecnych przewyższał o głowę wzrostem. Na widok nowego kolegi, który stał już z bębniem,

trzymając w pogotowiu pałeczki, olbrzym zawołał szyderczo:

— Co widzę? — Alboż to ten smarkacz chce zostać u nas doboszem?

— Tak jest — i jeżeli pan umiesz tak trąbić, jak ja bębnić, to wkrótce pułk będzie tańczył, jak my zagramy! — odparł chłopiec, zarzucając sobie rzemienie od bębna szybko na ramiona.

Zaczem ujął pałeczki w ręce, wznosił oczy pełne zapału ku niebu i począł bębnić z taką siłą i tak umiejętnie, że żołnierze głośno jęli objawiać zadowolenie.

Wtedy trębacz wyprostował się w całej swej wysokości i przyłożył trąbkę do ust. Zagrał najpiękniejszego ze wszystkich marszów, jakie umiał. Mały zaś dobosz towarzyszył mu tak wybornie, że olbrzym wytrzeszczał oczy z podziwu.

— Dobrze więc, przyjmijmy malca! — rzekł kapitan, zwracając się do matki. — Jakże mu na imię?

— Edward.

— A czy potrafi wytrzymać wraz z nami; trudy wojenne?

Matka wybuchnęła płaczem. Położyła wychudłą rękę na jasnej główce chłopca i łkając mówiła:

— Mąż mój i dwóch synów legło za ojczyznę na polu bitwy... Trzech młodszych walczy jeszcze... To szósty... i... ostatni!... Nie mogę jednak utrzymać go w domu... Rwie się w pole i powtarza, że iść musi... Jeno błagam cię, panie kapitanie, czuwaj nad nim i powróć mi go zdrowym. Pozostaję teraz sama, zupełnie sama!

Zaniosła się znowu płaczem.

— Uczynię, co tylko będzie w mojej mocy — odpowiedział kapitan — gdyby jednak... miało go spotkać nieszczęście, pamiętajcie, matko, że legnie za ojczyznę i za świętą sprawę naszego narodu, i to niech wam będzie pociechą...

Kobieta oddaliła się, tłumiąc łkania i jęki bolesne, co rwały jej pierś.

Chłopiec pozostał w obozie.

Wkrótce mały »Edek« — jak go nazywano powszechnie w obozie — stał się ulubieńcem wszystkich, najbardziej jednak przypadł do serca olbrzymowi trębaczowi. Gdy droga była zła, gdy przerywały ją rzeki i strumienie, trębacz brał chłopca wraz z bębniem na ramiona, a podczas długich, forsownych marszów, czynili to — jeden po drugim, na przemianę, wszyscy żołnierze. Mały dobosz śmiał się, szczebiotał, bił w bę-

ben, a starym wojakom serca rosły na widok pełnego życia i zapału dzieciaka.

Wkrótce potem miała miejsce wielka bitwa.

Słońce schodziło już ze zlanego krwią pola bitwy, a bój wciąż wrzał jeszcze. Dopiero ciemność nocy zdołała rozdzielić obie walczące strony. Teraz na pobojowisku zamigotały tu i owdzie błędne ogniki. To latarki tych, co szukali poległych towarzyszków broni. Co chwila wnoszono ranionych do namiotu, gdzie lekarze przez całą noc zajęci byli odejmowaniem strzaskanych kul z rąk i nóg, zeszywaniem i opatrywaniem ran.

Pomiędzy tymi, co z latarniami błądzili po zasianem trupami pobojowisku, znajdował się także i olbrzymi trębacz. W zgiełku bitwy stracił był z oczu małego dobosza i teraz szuka swego ulubieńca z rozpaczliwym niepokojem.

— Czyście nie widzieli małego Edka? Nie wiecież, gdzie jest mały Edek? — zapytywał każdego napotkanego żołnierza głosem, w którym brzmiały tłumione łzy. Od czasu do czasu zatrzymywał się, słuchając, czy nie usłyszy głosu dobrze znanego sobie bębna. Był pewny, że Edek nie porzuci bębna i nie wypuści z rąk pałeczek, dopóki mu sił starczy.

— Co to? Głos bębna?... A może to tylko słabe, spóźnione echo?... Nie, słychać znowu!... Tak, to bęben Edka! Krótkie, urywane uderzenia widocznie wzywają ratunku.

Trębacz puścił się sążnistymi krokami w stronę, z której dochodził go słaby odgłos bębna. Coraz wyraźniej słyszał znane, miłe dźwięki. Wychodziły z wąwozu, gdzie wrzał bój najzjadlejszy. Przeskakując piętrzące się wały trupów końskich i ludzkich, brodząc po kostki w kałużach krwi, potykając się o broń, porzuconą na ziemi, trębacz pędził wprost na głos bębna, który brzmiał coraz słabiej. Nareszcie ujrzał małego dobosza.

— Edek! — zawołał radośnie.

Chłopczyzna siedział, oparty o pień drzewa, mając bęben przed sobą, i w rękę pałeczki.

— Co się z tobą dzieje, chłopcze kochany? — pytał trębacz z niepokojem.

— Nic dobrego, mój stary, będziesz zmuszony znowu mnie nieść, jak to już nieraz bywało. Oto patrz, licha wzięte mi nogi...

Teraz dopiero trębacz spostrzegł, że kula armatnia urwała chłopcu obie stopy.

Olbrzym jęknął z cicha. Uczuł w sercu ból okropny, w oczach łzy pałace.

— Patrz, ów pocziwiec opatrzył mnie przed śmiercią — rzekł Edek, wskazując na leżące obok zwłoki Szkota. — Litościwy ten żołnierz zerwał przed skoniem z siebie szelki i obandażował niemi resztę moich nóg, aby krew nie uszła. A przecież wiedział, że jestem jego nieprzyjacielem.

Ostrożnie, niby najtroskliwsza matka chore dziecko, trębacz podniósł chłopca z ziemi. Łzy bujne spływały przy tej czynności po ogorzałych policzkach starego wojaka. Edek to spostrzegł.

— Ty płaczesz, stary? Wstydz się! Wzdziś — ja nie płaczę. Wcale nawet nie czuję bólu. Spać mi się jeno chce bardzo... Głowa mi ciąży. Ale nie zapomnij o bębnie. Nie mogę przecież wracać bez bębna do obozu...

Trębacz ułożył chłopca ostrożnie na murawie i przywiązał sobie mocno bęben w pół ciała. Potem posadził nań Edka, który ciężką głowinę oparł na ramieniu olbrzyma.

— Jakiś ty dobry, mój stary! — mówił malec, jak senny. Bóg da, pójdziemy jeszcze tak razem do boju. Zagramy razem tego marsza. Pamiętasz go? »Marsz na szanice!«

Począł cicho nucić słabym głosem melodję, a trębacz, obejmując go ostrożnie ramionami, szedł w stronę obozu. Chłopiec zdawał się zasypiać. Oddychał coraz prędzej i słabiej. Po chwili począł znowu mówić:

— Stary, pamiętaj pozdrów odemnie matkę i trzech braci walczących, gdy ich ujrzysz. Kto wie, może ja pójdę już do ojca i tamtych, poległych braci. Czy jutro znowu będzie bitwa?... Słyszysz?... stary mój, to... »marsz na szanice!«...

Ostatnie słowa zamarły mu na ustach, głowa opadła ciężko na ramię trębacza. Zasnął.

Olbrzym kroczył ostrożnie z drogim ciężarem, przestępując trupy, pnie i kamienie. Gdy jednak stanął w obozie, mały dobosz spał już snem wiecznym.

Siedział jednak wciąż jeszcze na bębnie i w lewej ręczce zaciskał kurczowo pałeczki...

Zginał śmiercią chwalebna, bo zginał w obronie ojczyzny.

Przepisał, streścił i podał do druku

Ludwik Piękoś

z Woonsocket w Póln. Ameryce.

Opowiadanie niniejsze, pięknie malujące bohaterstwo i poświęcenie, z jakim Buro-

wie walczą — od trzech lat prawie — przeciw Anglikom, którzy chcą ich pozbawić wolności i ojczyzny, — umieściła najpierw jedna z gazet warszawskich. Miałam właśnie zamiar powtórzyć je w »Zorzy«, gdy zobaczyła, że uczyniła to już »Gazeta Polska« w Brazylii, której wszyscy czytelnicy bez wyjątku otrzymują także »Zorzę«. To mię wstrzymało. Teraz jednak bez wahania spełniam życzenie pana Piękosia i serdecznie mu dziękuję, że tam daleko, za morzem, troszczy się o gazetkę, że się nią opiekuje, że ją czytuje i lubi. Bóg zapłać za to wszystko!

Przypisek Redakcji.



ROZMAITOSCI



Nowy Rok głosi nam Anioł czasu... O niech-że dźwięki tej trąby staną się dla nas prawdziwie anielskie. — Niech zbudzą w sercach chęć czynu i walki o prawdę. Niech brzmia, jak święte hasła wolności. Niech grają, jak pobudka do wspólnej pracy w bratniej miłości a zgodzie!

Takie życzenia składam Wam dziś, Bracia drodzy, bo w nich mieści się wiele. Chęć czynu, — energja, nie pozwoli nam gnuśnieć w ospałości. Walcząc o prawdę, wypełniać będziemy niesprawiedliwość, fałsz, krzywdę. Hasła wolności uczą szanować prawa każdego człowieka i prawa narodów. Wspólna praca

dla dobra ogółu w miłości i zgodzie podniesie w nas ducha, uzaeni serca, przybliży godzinę zmartwychwstania wielkiej naszej Ojczyzny!

Z otrzymanych listów noworocznych pozwolę sobie przytoczyć życzenia p. Wawrzyńca Łuki, bo zawierają myśl, która i u innych się powtarza, a odnosi się do nas wszystkich Polaków: „Z pod wiejskiej strzechy — pisze p. Łuka — ślę życzenia serdeczne, by „Zorza“ świtła nie na pochmurnym, lecz na czystym horyzoncie przestworza, i by kiedyś zwiastowała nam ranek wolnej i niepodległej Ojczyzny, która „Jeszcze nie zginęła“. Jak codzienne zorze rozpraszają nocne ciemności, tak niechaj „Zorza“ pisana skruszy ciemności umysłów ludzi, którzy jeszcze nie dożyli tej poeiechy, by korzystać z oświaty, i stać się światłymi obywatelami oraz bojownikami sprawy ludowej.

Dziatwa kossowska — wrześnińskiej.

W dniu 4. grudnia b. r. odbyła się uroczystość na cześć Mickiewicza w szkole wiejskiej w Koszowie, powiatu czortkowskiego. Młodzież tak ruska, jak i polska zgromadziła się w szkole, gdzie portret Mickiewicza i salę udekorowano zielenią — i rozpoczęła się uroczystość. Kierownik szkoły, pan Krzyżanowski, wygłosił odczyt, w którym wykazał, że z miesiącem grudniem wiąże się pamięć już to miłych, już uroczystych chwil w życiu Mickiewicza. Po odczytaniu dziatwa deklamowała ustępy z poezji Mickiewicza, a później nauczycielka, p. Pomezanska, odśpiewała na dwa głosy pieśni patriotyczne; na zakończenie zaś uroczystości rozdano między dziatwę portrety Mickiewicza.

Po odśpiewaniu pieśni, kierownik szkoły opowiedział w wymownych słowach o bohaterstwie dzieci ze szkoły ludowej we Wrześni, o uwzięzieniu ich rodziców przez okrutnego Prusaka, o smutnej doli, która stała się wskutek tego ich udziałem. Dziatwa kossowska, wzruszona do łez opowiadaniem, zaraz na drugi dzień złożyła dla tych dzieci drobnymi składkami 4 korony. — Kwotę powyższą kierownik szkoły przesłał za pośrednictwem Redakcji „Zorzy“ dzieciom we Wrześni, jako serdeczny bratni dar od ich rówieśników z Galicji.

Jak się bronimy. Barbarzyństwo Prusaków nie osłabiło ducha w narodzie polskim, jak tego chcieli nasi wrogowie. Owszem zbudziło społeczeństwo do czynu i obrony. Kupey i przemysłowcy nasi zrywają stosunki z Niemcami, aby nie wzbogacać tępicielei języka polskiego. Pruskie sklepy we Lwowie, Krakowie, Warszawie świecą pustką, ani pies do nich nie zajrzy. Kobiety odbywają wiece po większych miastach i naradzają się, co czynić, aby dopomódz cierpiącym braciom pod Prusakiem — i dają

sobie słowo, że kupować będą jeno swojskie wyroby. Mężczyźni zakładają towarzystwo ochrony krajowego przemysłu i handlu. Wszędzie życie, ruch, praca pełna dobrej woli i energii. A wśród tego płyną obficie z bratnich rąk ofiary na dziatwę z Wrześni, pozbawioną opieki rodzicielskiej. Dotąd uskładano więcej, niż sto tysięcy koron. A wśród tych składek najrzewniejsze uczucia budzą drobne kwoty od dzieci i włościan. Dzieci w liścikach swoich piszą najczęściej: „Nie chcemy cukierków, zabawek, nie będziemy szyły sukienek dla lalek, oddajemy wszystko, co mamy, dzieciom, które Prusak bije i którym matki zamknął w więzieniu.“ Wyrzeka się więc ta droga dziatwa tego, co dla niej najmiłsze: zabawy, przysmaków. Ale ubogi lud wyrzeka się soli i okras do jałowych ziemniaków, aby wyrazić swoje uczucia braciom z pod Prusaka. Codziennym otrzymujemy po kilkadziesiąt drobnych, centowych składek od włościan, a towarzyszą im zwykle takie mniej więcej słowa, ciężką ręką od pluga i siekiery skreślone: „Dla męczenników w ziemiach polskich, przez Prusaka zagrabionych“, albo: „Dla dzieci z Wrześni. Niech nie zapominają mowy ojców. Niech cierpią za nią i nadal“, albo: „Na ziemi kmiecia Piasta, co królem ostał, lud modlić się będzie po polsku do skończenia świata“, albo: „Posyłamy, co mamy. Trzeba wspierać braci“ i t. d.

Czyta się te słowa przez łyzy, a drzące usta powtarzają słowa chłopca-poety, Jana Kasprowicza: „Ludu, święty ludu polski!“...

A cóż na to Prusak? — Wścieka się, katuje dalej dzieci polskie, wydaje barbarzyńskie wyroki. Oto przed kilku dniami sądy pruskie skazały na dwa lata ciężkiego więzienia dra Rakowskiego za to, że pisywał w gazetach o miłości ojczyzny. Oto przed paru tygodniami zbito do krwi w jednej ze szkół Józia Buraka i trzciną przecięto mu twarz za to, że nie umiał czytać po niemiecku z tablicy.

O zakamieniałą, okrutną jest dusza Prusaka!

A cóż na te objawy miłości i pomocy bratniej z innych dzielnie powiada lud wielkopolski i śląski?

Lud wielkopolski i śląski czuje, że nie jest odosobniony, że poza nim stoją miliony braci i tem mężniej waleczyć będzie o swoje prawa, aż — skończy zwycięstwem!

O tak, tak, Bracia ukochani; w górę serca i czoła! Kto wytrwa, ten zwycięży!

Prusak męczy polskie dzieci. Zwracam uwagę Waszą, drodzy Czytelnicy, na wiersz pod tytułem powyższym, który zajmuje miejsce maczelne w dzisiejszej gazecie. Napisała go

najznakomitsza nasza poetka, Marja Konopnicka, której utwory „Zorza“ parę już razy miała zaszczyt drukować.

O kalendarzach. Niech-że nikt odtąd nie kupuje kalendarza Uniwersalnego, ani Marjańskiego. wydawanych przez Niemca Steinbrennera. Są one nie mądre, mogą wyrzucić wpływ najgorszy na czytelników, a nadto wychwalają wszystko, co niemieckie, z pogardą zaś i nieznamościami mówią o rzeczach polskich. Natomiast zasługuje na polecenie kalendarz K. Wojnara pod tytułem „Gospodarz“. Czytelnik znajdzie w nim ładne obrazki, zajmujące powiastki, pouczające opowiadania. „Gospodarz“ kosztuje 30 ct. Można go także zamawiać w Administracji „Zorzy“.



Odpowiedzi od Redakcji.

Do wszystkich Czytelników i Czytelniczek „Zorzy“.

Niby płatki białego śniegu, nadleciały do „Zorzy“ listy ze stron rozmaitych — z gór i dolin. I każdy z onych listów świeci uczuciem szczerem, serdecznem, jako i te gwiazdki srebrne w promieniach słońca. Jenó blask ich nie zgaśnie, nie zniknie, jak tamtych. Owszem, pozostanie mi na całe życie w pamięci i sercu. Dziękuję Wam, dziękuję wszystkim za wszystko! A ze swojej strony powiem jenó tak: Starac się będę szczerze, ile sił, ile rozumu starczy, aby „Zorza“ i nadal niosła drogim swoim Czytelnikom pożytek i rozrywkę.

P. Jan Broda w Witkowicach. Dziękuję za list, który mi pozwolił zajrzeć w myśli i uczucia pańskie. Im bardziej poznaję czytelników naszej gazetki, tem żywszą radością uderza mi serce. Słodko-ż to pracować, gdy się ma takich dzielnych pomocników. Raz jeszcze dziękuję za wszystko, a za życzliwość najbardziej!

P. Celestyn Krupa w Pikulińcach. Niepodobna było dać piosenki w grudniu, bo nadeszła za późno. Gazetka składa się i drukuje

przez całe dwa tygodnie, bo to nie mało trudu tyle literek jedną po drugiej wybrać i ułożyć. Ale co się przewlecze, nie uciecze. Za życzliwość Bóg zapłać, drogi Panie Czytelniku!

P. Piotr Pietrzyk w P. Gazetkę posyłamy Weronice Hmiel do Chicago wedle wskazówki. To prawda, że inne pisma każą płacić za zmianę adresu 20 ct., więc tyle, ile wynosi całoroczna prenumerata „Zorzy“. Ale my bezpłatnie to czynimy. Niech-że wszystko Wam idzie, jak z płatka, w tym roku nowym!

P. J. Majka w Zaborowie. Szczerze ubolewam, że gazetka nie dochodziła. Na wiele setek numerów, które się rozsyła, zdarza się pomijać czyjś adres. Ale na to jest rada. Oto trzeba na zwykłym kawałku papieru napisać: „Nie otrzymałem takiego a takiego nr. „Zorzy“ — potem zaadresować, napisać Reklamacja i oddać na pocztę bez marki. Bo reklamacje są wolne od opłaty pocztowej. — Powiedzieć nie poradzę, jaką mam zgrzyotę, gdy ktoś pisze list, że od kilku miesięcy gazetki nie otrzymuje. A jednak zdarza się to, choć wciąż o reklamacjach przypominam. — Za jednanie czytelników do „Zorzy“ dziękuję serdecznie.

P. Antoni Sowa w Żuklinie. Najradośniejsza to dla nas nowina, gdy powie ktoś, że wiele i chętnie czyta. Książki i gazety to najlepsi szerzyciele światła. Czytajmyż więc, uczmy się, oświecajmy i z całym zapałem innych do tego zachęcajmy.

P. Wojciech Wasikiewicz w starym Wiśniczu. Owszem, „Zorzę“, ale tylko „Zorzę“ można otrzymywać pod wspólną opaską z „Przyjacielem Ludu“. Kto tak otrzymuje „Zorzę“, płaci 20 ct. rocznie, bo odpada 12 ct. na marki pocztowe.

P. Różia Dutkówna w Czortkowie. Za list dziękuję. Umieszczę w lutym. W tym numerze mnóstwo rzeczy nie zmieściło się, ku wielkiemu memu utrapieniu.



TREŚĆ NUMERU: Prusak męczy polskie dzieci. — Kochajmy się!... — Ojciec nasz dzieci wrzesińskich. — Hołd pośmiertny Ujejskiemu. — Maraton. — Mały obrońca Ojczyzny. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcji.